

MARYA DELORME.

WIKTORA HUGO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

MARYA DELORME.

DIDIER.

LUDWIK XIU.

MARKIZ de SAVERNY.

MARKIZ de NANGIS.

ANGELY.

Pan de LAFFEMAS.

Księżę de BELGARDE.

MARKIZ de BRICHANTEAU,

Hrabia de GASSÉ,

Vice-hrabia de BOUCHAVANNES,

Kawaler de ROCHEBARON,

Hrabia de VILLAC.

Kawaler de MONTPELAT,

SCARAMOUCHE,

MILUCHNY,

TAILLEBRAS,

Woźny.

Kapitan straży w mieście Blois.

Dozorca więzienia.

Pisarz trybunału.

Radca przy trybunale.

Róża.

Dworzanie i panowie dworu.

Wyrobnicy.

Aktorowie wędrowni.

Straże.— Lud.

Pazie i pokojowcy królewscy.

} Aktorowie
wędrowni.

Oficerowie
z pułku ande-
gawskiego.

Scena we Francji roku 1638.

I.

SCHADZKA.

AKT I.

(Scena w Blois.—W miejskim domu, pokój sypialny.—W głębi odemknięte okno na balkon.—Na prawo stół z lampą i krzesło.—Na lewo, drzwi zakryte firanką.—W cieniu widać łóżko).

SCENA PIERWSZA.

Marya Delorme, w gustownym negligu siedzi przy lampie i haftuje na kanwie, markiz de Saverny bardzo młody człowiek, jasno-włosy, bez wąsów ubrany według ostatniej mody 1638 r.

Saverny,

(*zbliżając się do Maryi i chcąc ją pocałować*).

No! Na zgodę, Marysiu, dziewczę lubę, ploche!...

Marya, (*usuwając się*).

Dobrze, niech będzie zgoda, tylko dalsza trochę.

Saverny, (*jak dawniej*).

Raz jeden pocałuję.

Marya, (*z gniewem*).

Ależ proszę pana....

Saverny.

Dawniej miałaś kaprysy, lecz miłsze, kochana!

Marya.

Zapominasz pan....

Saverny.

Cóż znów? przypominam właśnie.

Marya (*na stronie*).

Nieznośny!

Saverny.

Niech się pani wytłumaczy jasnie,

Co mamy myśleć o tój ucieczce z Paryża

Bez wiadomój przyczyny? A, nam to ubliża.

Gdy cię tam wszędzie szuka młodzież dworu liczna,

Znajduję cię ukrytą? Bałamutko śliczna,

Cóż możesz dwa miesiące robić tu, o! nieba?

Marya.

Co robię? robię co chcę, a chcę co mi trzeba;

Sądzę, że jestem wolną.

Saverny.

Wolną! Spytać muszę,

Czy i ci także wolni, którym wzięłaś duszę?

Ja, Gondi, co pół mszału opuścił w potrzebie,

Spiesząc na pojedynek, który miał za ciebie;

Nesmond, Pressigni d'Arquien i oba Caussad'y,

Każdy po twym odjeździe zły, smutny i blady,

Tak, że ich żony wreszcie, chcą twego powrotu,

By z nudami swych mężów nie mieć już kłopotu.

Marya (*uśmiechając się*).

A Beauvillain?

Saverny.

Tyś zawsze dla niego jedyna.

Marya.

Sevêst, Pous?

Saverny.

Pierwszy wielbi, drugi cię przeklina!

Marya.

Jedyny, który kocha. A prezydent stary

(śmieje się).

Jak wspomnę, już się śmieję...

Saverny.

Ten pali ofiary

Przed twoim wizerunkiem. Dałaś mu go przecie.

Marya.

Tak; długie już dwa lata kocha mię w portrecie,

Saverny.

I nie cię nie rozczula? Powiedz, któż tak stroni
Od tylu sobie wiernych?

Marya.

Właśnie, wszyscy oni,

Jeśli mam szczerze mówić, ucieczki powodem;

Wszystkie te świetne grzechy, w mojem sercu młodém

Były kiedyś radością: dziś niemi się trwożę.

Schroniłam się do Blois; jutro w celi może,

Będę już opłakiwać dni zgrozy, zgorszenia...

Saverny.

W tém jest nowa miłośćka; to bez zaprzeczenia.

Marya.

Pan sądzisz...

Saverny.

Że nie zechcesz w zakonną zamroczy

Ukrywać swoje śliczne błyskawiczne oczy.

No! kochasz na parafii i wzbijasz ją w pychę?

Dla ślicznego romansu—zakończenie liche.

Marya.

Tak nie jest.

Saverny.

Zakład?

Marya.

Rózo! spojrz, która godzina?

(Róza z drugiego pokoju).

Północ blisko.

Marya *(na stronie).*

Już północ.

Saverny.

Tak się przypomina

Gościom, że czas już odejść.

Marya.

Siedzę ciągle w domu...

Nie przyjmuję nikogo, nieznana nikomu...
Miejsce to jest odludne. O tak późnej porze,
Napadnięty, obdarty, łatwo pan być może.

Saverny.

Mniejsza; niech mnie obedrą.

Marya.

Zabijają nie raz...

Saverny.

Niech zabijają.

Marya.

Lecz panie....

Saverny.

Śliczna jesteś teraz!

Lecz przecie nim odejdę, przyznasz mi się szczerze:
Jaki szczęśliwy pasterz po nas spadek bierze?

Marya.

Nikt.

Saverny.

Przyrzekam ci sekret, sekret przed wszystkimi!
Nas dworaków zwą zawsze ludzie szalonymi;
Sądzą, żeśmy paplarze, ciekawi bez granic.
Prawda: paplać potrafim, ale mówić—za nic.
Cóż, milczysz?

(*siada*).

Więc zostaje.

Marya.

Mniejsza, że się gubię!

Tak: kocham,—oczekuję.

Saverny.

O! tak, to cię lubię.

Dobrze! i gdzież nań czekasz?

Marya (*niecierpliwie*).

Ah! tutaj... mój Boże!

Saverny.

Kiedy?

Marya.

Właśnie w tej chwili.

(*Idzie do okna i przysłuchuje się*).

Już nadchodzi może.

(*Wraca od okna*).

Nie. Więc pan kontent teraz?

Saverny.

Nie arcy.

Marya.

Idź sobie...

Saverny.

Powiedz jego nazwisko, a zaraz to zrobię;
Niech wiem, kto mnie wypędza, kiedy tu tak mile...

Marya.

On nazywa się Didier i wiem tylko tyle:
Dla niego jestem Maryą—nic więcej.

Saverny.

O! tylko

Czy to prawda?

Marya.

Najświętsza.

Saverny.

Aż pachnie idylką
Taka miłość. Już widzę: tu słowik, tam róże...
Ale, by wejść do ciebie, drapie się po murze?

Marya.

Może. Niech pan odejdzie.

(*Na stronie*).

A to uprzykrzony!

Saverny (*poważnie*).

Przynajmniej wiesz, czy on jest dobrze urodzony?

Marya.

Nie wiem.

Saverny.

Jak to?

(*Marya go powoli posuwa ku drzewom*).

Już idę, idę.

(*Powraca*)

Jeszcze słowo.

Zapomniałem: poeta, ze sławą nie nową,
(*wyjmując z kieszeni książkę i oddaje Maryi*),
Napisał dla cię książkę; straszliwie jest głośna.

Marya (*czytając tytuł*)

„Ślicznej Marysi Delorme girlanda miłośna”.

Saverny.

Ta girlanda w Paryżu całym rozślawiona:
Dwa wielkie powodzenia dziś: to *Cyd* i ona.

Marya (*bierze książkę*).

Myśl grzeczna. Dobrą noc.

Saverny.

Być na szczycie takim
I w idylliczną miłość bawić się z prostakiem?

Marya (zawołała Różę).

Weź światło i margrabię przeprowadź troskliwie.
(Wychodzi).

SCENA DRUGA.

MARYA sama, zamyka drzwi za Savernym.

Marya.

Idź, idź... Ach! Jakżem drżała by Didier...

(Idzie do okna).

Noc głucha....

(Zegar miejski wybija północ, Marya liczy).

Północ.... już być powinien....

(Idzie do balkonu i patrzy w ulicę).

Ni żywego ducha!

(Wraca do krzesła i niezadowolona, siada).

Już spóźnia się, mój Boże!

(Didier zjawia się za poręczami balkonu, lekko je przeskakuje, wchodzi i składa, obok okna, na krzesło płaszcz swój i szpadę. Ubiór skromny, cały czarny. Postępuje krok naprzód, zatrzymuje się i patrzy przez chwilę na Maryę, która zadumana ze spuszczonego oczyma, siedzi).

SCENA TRZECIA.

MARYA i DIDIER.

Marya, (sposstrzegając go).

A!

(z wymówką)

Dać mi, zbolałem

Sercem liczyć godzinę....

Didier, (poważnie).

Wejść tu się wahałem.

Marya (urazona).

A! panie....

Didier, *(niepostrzegając urazy Maryi)*.

U twych progów, tu, przed chwilą małą,
 Serce moje bezmierną litością wezbrało.
 Tak, litością dla ciebie! Ja, nędzny, przeklęty,
 Nim wszedłem, pomyślałem, w żal jakiś ujęty:
 „W tym domu, we swój cnocie i w swojej jasności
 Czuwa niewieści anioł dobroci, piękności;
 Istota rajska, czysta, a którą na ziemi
 Tłum winien witać klęcząc, z dłońmi wzniesionemi.
 Czemże jestem, nieznany wśród tej ludzkiej trzody,
 Bym śmiał mącić świetlaną przejrzystość tej wody?
 Mogę zerwać tę lilie? w nieczyste oddechy
 Mamże skazić tej duszy błękitne uśmiechy?
 I, gdy mój szlachetności zwierza się, dziewicza,
 Ona, na którą patrzę, jak w świętych oblicza;
 Mogę ten dar miłości przyjąć, bez sumienia,
 I stracić jej dni jasne w mojej nocy cienia?

Marya, *(na stronie)*.

Zdaje się z teologii ustęp mi wyklada;
 Byłżeby Hugénotem?

Didier.

Lecz twój głos posiada
 Moc kojącą; dźwięk jego zleciał ku mnie, cucіл,
 Rozproszył me zwątpienia i do stóp twych rzucił.

Marya.

Jakto? głos mój słyszałeś?

Didier.

Głos, ale nie słowa.

Lecz mówił i ktoś drugi...

Marya.

To z Różą rozmowa.

Róża ma dziwną mowę, trochę nieprzyjemną;
 Głos twardy, jakby mężki. Lecz kiedyś już ze mną,
 Zapominam urazy. Siądźmy, jam znużona.
(Siada i pokazuje kochankowi miejsce koło siebie blisko)
 Tu.

Didier.

Wolę u stóp twoich.

(Siada na taborecie u nóg Maryi i patrzy na nią przez chwilę w milczącym zachwyceniu).

Słuchaj, ubóstwiona!

Imię moje jest Didier. Ja nie znałem zgoła
 Matki mojej ni ojca. Na progu kościoła
 Nie wiem kto mnie porzucił, nagie, biedne dziecie;
 Winienem wszystko prostój, ubogiej kobiecie

Z ludu: tam litość we krwi. Przez nią byłem wzięty;
 Była mi mamką, matką, dała mi chrzest święty,
 Chowała według Bega; zmarła i swe mienie
 Mnie w spadku zostawiła. Więc całe istnienie
 Wziąłem i biorę od niej. Żywot mój sierocy
 Był pełen ciężkich smutków, goryczy, niemocy.
 Zwiedzałem kraje; ludzi chciałem znać tej ziemi,
 I jednych nienawidzę, pogardzam wszystkimi:
 Bo w tém mętném zwierciadle, co ludzkim obliczem,
 Świeci pycha lub nędza, nie zrównana z niczem.
 I oto, mnie młodemu, ciężą życia lata,
 Jak starcowi, co wkrótce ma odejść ze świata;
 Czego dotknę się tylko, tam rana mnie czeka;
 Znajduję świat niedobrym, lecz gorszym, człowieka.
 Tak żyłem, ja sierota, biedny i znużony;
 Gdys zesłał mi jak anioł pociechy wcielony.
 Nie wiem nawet kto jesteś.

Szczęściem dla mnie rzadkiem
 Ujrzałem cię w Paryżu, w ulicy, przypadkiem;
 Spotykałem cię znowu i, za każdym razem,
 Pieściłem się twym wzrokiem, postacią, wyrazem;
 Bałem się cię pokochać, uciekłem.... Któż zdoła
 Wyrazić me zdumienie, gdy mego anioła,
 Ciebie, ujrzałem tutaj?

Szalałem! nareszcie,
 Chciałem ci odkryć wszystko: miłość i boleść;
 A ty? ty pozwoliłaś, kończąc me katusze.
 Teraz masz moje życie, me serce, mą duszę!
 Wszystko, co mi rozkażesz, na wszystko się zgodzę.
 Gdzie człowiek, albo rzeczy co stoją ci w drodze?
 A może masz chęć jaką, której czyniąc zadość
 Potrzeba, by kto śmierć wziął jak bierze się radość.
 I błogosławił ciebie ostatnim oddechem
 I czuł się nagrodzony stokroć twym uśmiechem?
 Trzeba ci? daj znak tylko słów twoich szelestem,
 Rozkaż skinieniem choćby jednym... Oto jestem!

Marya, (*uśmiechając się*).

Dziwnyś, ale cię takim serce moje kocha.

Didier.

Kochasz mię!? strzeż się Maryo! nigdy mowa płocha
 Niepowinna w morderczych słów wpadać zawilość!
 Kochasz? lecz czy wiesz sama, co to znaczy miłość?
 Miłość, co jest krwią ciała a słońcem dla ducha,
 Która długo tłumiona w płomienie wybucha
 I jak pożar się pali, i duszę oczyszcza!
 Co jedna w naszym sercu unicestwia zgłiszczą

Leżących tam żądz, zmarłych w zawodów kolei!
Miłość, co jest bez wiary, chociaż bez nadziei,
I po szczęściu trwa jeszcze wieczna w swój żałobie!
Powiedz: o niej mówiłaś?

Marya (*wzruszona*).

Prawdziwie.... Co tobie?

Didier.

A! nie wiesz, jak cię kocham! Istniałem, jak w grobie,
Kiedy zstąpiłaś ku mnie, uczułem co życie;
I wzrok twój mnie nauczył, czym jest serca bicie.
Od téj chwili, jam inny. Jesteś dla mych oczu
Istotą cudną, bożą, w świetlaném przezroczu.
Te dni, dla mego serca tak ciężkie, nieznosne,
Zdają mi się prawie piękne, lekkie i radośne.
Bo do twojego przyjścia me losy, złowieszcze:
Tylko walka i ból! Nie kochałem jeszcze!

Marya.

Biedny, luby!

Didier.

O! Maryo!

Marya.

Kocham, kocham ciebie,

Tak, kocham! Więcej niż ty! Świadkiem Bóg na niebie!
Sama ciebie szukałam wszędzie, zawsze, śmieie!
Jestem twoją, na wieki!...

Didier, (*upadając na kolana*).

Nie zwódź mię aniele!

Daj méj czystej miłości, ukochań twych dary,
A uczynisz szczęśliwym! bez granic, bez miary;
Dni me rzucę na ścieżkę, po której ty chodzisz;
Takie będzie me życie... Och! jeśli mię zwodzisz?!

Marya.

Wszystko, wszystko dla ciebie zrobić jestem zdolna.

Didier.

Daj mi dowód.

Marya.

Mów jaki?

Didier.

Pewno jesteś wolna?

Marya (*zakłopotana*).

Tak...

Didier.

Połącz z mojem życiem, twego życia zorze:
Bądź mą żoną!

Marya *(na stronie)*.

Jam jego niegodna, mój Boże!

Didier.

Milczysz?

Marya.

Lecz...

Didier.

Ha! rozumiem. Biedny i sierocę;
Wymagania me dzikie! Zostaw mię w mój nocy,
W mój żałobie, w mój męce, w mojej samotności!
Bądź zdrowa.

(Chce ołchodzić, Marya go zatrzymuje).

Marya.

Ach! ty bluźnisz!...
(gorzko płacze).

Didier, *(wracając).*

Przebacz mi, z litości!

Ale czemu się wahasz?

(zblizając się do niej).

Czyż nie dosyć na tem:

Być dla siebie wzajemnie ojczyzną i światem,
I niebem! uciec w jakie samotne ukrycie;
Tam zagrzebać swą miłość, swe szczęście, swe życie...

Marya.

Ach! to raj.

Didier.

Mieć go będziesz.

Marya *(na stronie)*.

Za grzech straszna kara!

(głośno)

Nie mogę, nigdy! nigdy!

(wyrywa się z objąć kochanka i upada na krzesło).

Didier *(zimno).*

Nie zgrabna ofiara

I wcale nie szlachetna. Wstręt to, dość pojęty.
Lecz nie mówny już o tém.

Marya *(na stronie)*.

Niech będzie przeklęty

Dzień, w którym mnie pokochał.

(głośno)

Głos twój serce rani....

Ja ci się wytłumaczę....

Didier (*oziębło*).

Co czytałaś pani,
Kiedy przybyłem do niej?
(*bierze ze stołu książkę i czyta tytuł*)

„Girlanda miłości
Ślicznej Marysi Delorme”.

(*gorzko*)

A, to piękność głośna!
(*rzuca na ziemię książkę gwałtownie*)
Ha! nikczemne stworzenie; kazi ród niewieści!

Marya (*drżąc*).

Panie....

Didier.

Co tutaj robi ta książka bez cześci?
Zkąd ją wzięłaś?

Marya (*cicho, opuszczając oczy*).

Przypadkiem...

Didier.

Czy wiesz, z czystym czołem:
Ty, z okiem wniebowziętym, z sercem-archaniołem,
Czy wiesz kto ta Marysia, ze sławą swą marną?
Kobieta z pięknym ciałem, a z duszą poczwarną,
U której wszędzie, zawsze, każdy kupić może,
Miłość brudną, podłącą!

Marya (*chowając twarz w dłoń*).

O! Boże! mój Boże!
(*za sceną słychać spieszne kroki, szcęk broni i wołanie*).

(*Głos za sceną*)

Na pomoc!

Didier (*zdziwiony*).

Zdaje mi się, ktoś woła pomocy?
(*Głos za sceną, wśród szcępu broni*).
Gwałtu! ratunku!

Didier (*spoglądając z balkonu*).

Kogoś mordują wśród nocy.
(*Bierze szpadę przerzuca nogę za balkon. Marya biegnie i stara
go się zatrzymać*).

Marya.

Didier! Jeśli mnie kochasz! chcesz, by cię zabili?...
(*ściszając na ulicę*).

Lecz tam jego zabijają, biedaka!...
(*Za sceną głośno*).

W tej chwili!

Trzymaj się pan tam śmiało....

(Słychać szczełk oręźa).

Dobrze! Cios korzystny!
(Ciągły szczełk broni i głos stępań ludzkich).

Marya *(patrząc z balkonu, z przerażeniem).*

Boże! na nich dwóch, sześciu!

(Głos za sceną).

A to szatan istny!

(Szczęk broni powoli ustaje; odgłos biegnących kroków ginie w oddaleniu. Pokazuje się Didier przelazący przez balkon).

Didier.

(Na poręczy balkonu, zwrócony do ulicy).

Jesteś pan już bezpieczny: możesz iść w swą drogę.

Saverny *(z ulicy).*

Ale przecie uścisnąć rękę pańską mogę,
 I podziękować panu?

Didier *(z niecierpliwością).*

Idź pan, droga znana.

Ze wszystkich podziękowań kwituję ztąd pana.

Saverny.

Ja muszę podziękować!

(Przeskakuje przez balkon).

Didier.

Zamiast tu się wprosić,

Mogłeś pan zdołu krzyknąć: dziękuję, i dosyć.

SCENA CZWARTA.

Ciż sami i SAVERNY.

Saverny *(wbiega do pokoju z dobytą szpadą).*

W takiej tyranii trudno byłoby oddychać,
 Ocalić komuś życie i za drzwi wypychać!
 Za drzwi, raczej za okno! czyż do uwierzenia,
 By człek mego nazwiska, mego urodzenia,
 Tego, kto go ocalił, nie raczył pozdrowić,
 I nie rzekł: panie hrabio.... Zkim mam zaszczyt mówić?

Didier.

Imię moje jest Didier.

Saverny.

A dalej?

Didier.

Nic dalej.

Chcą pana zamordować? dobrze, ktoś ocali,
Tém lepiej. Żegnam pana.

Saverny.

Al! to pańskie zdanie?
Trzeba było pozwolić zabić mię, mój panie,
Nizeli tak przyjmować! Bez pańskiej pomocy,
Trup byłem. Sześciu zbójców, ja jeden śród nocy,
Zginałbym! sześć sztyletów, moja jedna szpada!
(*Spostrzega Maryę, która starała się być niewidzialną*).
Aleś pan tu zajęty; odejść mi wypada;
Rozumiem. W takich razach nieznosni nieznani.
Przepraszam....

(*na stronie*)

Lecz zobaczmy damę.

(*zbliża się do drżącój Maryi, poznaje ją i z cicha*)

Al! to pani?

(*Wskazując na Didiego*)

Więc-to-on?

Marya, (z cicha)

Gubisz mię pan.

Saverny (*klaniając się ceremonialnie*)

Pani niech przebaczy...

Marya, (z cicha)

Ach! ja pierwszy raz kocham!

Didier (*na stronie*)

Na Boga! co znaczy
Że ten człek tak się śmiało Maryi przypatruje?
(*uderzeniem ręki zrzuca lampę ze stołu*)

Saverny.

Jakto, gasisz pan lampę. Na co?

Didier.

Bo znajduję
Że odejść nam obydwom wypada w téj chwili.

Saverny.

Jam gotów.

(*klaniając się z uszanowaniem Maryi*)
Żegnam panią.

Didier (*na stronie*)

I jak się to mili,

Ten gagacik!

(*do pana de Saverny*)

Idziemy!

Saverny.

A pomnij pan wszędzie,
 Żeś mi ocalił życie. Gdy potrzebny będzie
 Kiedy panu miecz bratni i przyjaciel wierny...
 Paryż-Hôtel de Nesle Margrabia Saverny.

Didier.

Dobrze.

(na stronie)

Widzieć te oczy na nią wypatrzone!...
 (wychodzą przez balkon, za sceną słychać głos Didiego)
 Pańska droga jest tędy, a moja w tę stronę.

SCENA PIĄTA.

MARYA. RÓŻA.

Marya.

Rózo! Rózo!

(Róża wchodzi. Marya pokazując okno)
 Zamykaj.

Róża

(zamyka okno, obraca się i spostrzega jak Marya ociera z łez oczy,
 na stronie).

Płacze? czy nie chora?
 (głośno)

Czas pani się położyć.

Marya.

Tak, to wasza pora;

Bo sypiacie.

(rozpuszczając swe włosy)
 Rozbierz mnie.
 (Róża rozbierając Maryą).

To nie z ciekawości;
 Lecz tak: ten pan dzisiejszy będzie wart miłości?
 Bogaty?

Marya.

Nie,

Róża.

Przyjemny?

Marya.

Nie. Niegrzeczny trocha.

Róża (zdumiona).

A więc na co on pani?

Marya (zamyślona).

Cóż? serce go kocha.

II. SPOTKANIE.

AKT II.

(Scena w Blois. — Drzwi otwarte do oberży. — Przed niemi plac miejski. — W głębi widuć miasto Blois w kształcie amfiteatru i wieżę kościoła św. Mikołaja na wzgórku okrytym domami miasta).

SCENA PIERWSZA.

Hrabia de Gassé, margrabia de Brichanteau, wice hrabia de Bouchavannes, kawaler de Rochebaron, siedzą przy stołach ustawionych przed drzwiami oberży; jedni palą fajki, inni piją i grają w kości. Później przychodzi kawaler de Montperat, hrabia de Villar, później Angely; nakoniec wozny i tłum mieszkańców miasta.

Brichanteau (wstając, do p. de Gassé, który wchodzi).

Gassé!

(Ściskają się za ręce).

Więc tu — do pułku odesłali ciebie?

(Kłaniając mu się).

Przyjmij powinszowanie: — jesteś po pogrzebie.

(Opatrując ubranie jego).

A!

Gassé.

To moda: z złotawém błękit się przeplata.

(pokręca wąsy i staje z rękami nakrzyż założonemi).

Czy wy wiecie, że Blois jest na końcu świata?

Brichanteau.

Istne Chiny.

Gassé.

Żon naszych krzyk wielki przy dworze:

Że, chcąc być z nami, muszą jechać jak za morze.

Bouchavannes (przerywając grę).

Pan przyjeżdżasz z Paryża?

Rochebaron (przestając palić).

Jakież są nowiny?

Gassé (kłaniając się).

Żadnych. A! w modzie zawsze jest Korneil jedyny.

Guiche ma krzyż; Ast jest księciem; reszta: bagatele;

Trzydziestu Hugonotów wieszano w niedzielę.

Pojedyneków bez liku. Trzeciego, d'Angleu'a

Z d'Arquien'em, o koronki podobno d'Arquien'a;
 Lavardain z Pous'em mieli spotkanie szalone,
 Bo ten Pous'owi zabrał Sourdis'ową żonę;
 A Sourdis bił się z d'Ailly o wdzięki dziewczyny
 Z teatru; znów z Nogant'im Lachâtre, z tój przyczyny,
 Że w przepisaniu wierszy zrobił myłek wiele;
 D'Jumier z Gondim o miejsce pierwszeństwa w kościele;
 Gorde z Margaillan'em o to, która jest godzina;
 Brissac'ów z Soubis'ami sprawa jest jedyna,
 Bo o zakład psa z koniem. A w ostatniej dobie
 De Caussade z Latournell'em bili się, tak sobie,
 Z przyjemności. I Caussade zabił Latournell'a.

Brichanteau.

Lubię Paryż! Przynajmniej rozrywek udziela.

Gassé.

Rzecz to mody.

Brichanteau.

Miłości, pojedynki, bale;
 Prawdziwie za Paryżem, żyć nie można wcale.

(Ziewając).

Ale tu za to nuda, jak mgła się wydziela.

(Do p. de Gassé).

Powiadasz więc, że Caussade zabił Latournell'a?

Gassé.

Dość zgrabnym pchnięciem szpady.

(Przypatrując się rękawom sukni p. de Rochebaron).

Cóż to za krój dziki?

Nikt już tego nie nosi. Pętlíce? Guziki?

Ach! mój drogi, zepsucie gustu oczywiście!

Mamy wstęgi, kokardy!

Brichanteau.

Powtórzo nam listę

Tych drogich pojedynków? a król, co powiada?

Gassé.

Kardynał karą grozi i we wściekłość wpada.

Bouchavannes.

Z obozu nie ma wieści?

Gassé.

A! była z niedzieli:

Zda się wzięliśmy Figuière, albo nam ją wzięli;

(Przypominając sobie).

Tak,—to nam ją zabrano.

Rochebaron.

Król pewno zmartwiony?

Gassé.

Kardynał bardzo, bardzo niezadowolniony.

Brichanteau.

A dwór? a zdrowie króla dobre do téj pory?

Gassé.

Nie! Kardynał jest mocno na pedogrę chory;
W lektyce spaceruje.

Brichanteau.

A! to oryginał;

My pytamy o króla, on, prawi kardynał.

Gassé.

To moda.

Bouchavannes.

Nowin żadnych?

Gassé.

Jest jedna, wspaniała!

Wydarzenie, cud prawie, katastrofa cała,
Która Paryż wprowadza w ciekawości drzenie!
Odjazd skryty i nagły, ucieczka, zniknienie...

Brichanteau.

Czyje?

Gassé.

Maryi Delorme, téj pięknej, jedynéj,
Cudownéj!

Brichanteau (*tajemniczo*).

Posłuchajże i naszéj nowiny:

Ona tu jest.

Gassé.

Tu—w Blois?

Brichanteau.

Sama incognito.

Gassé (*wznosząc ramiona*).

Wolne żarty, margrabio. Znam się z tą kobietą
Ona, Marya—tutaj? ona, pani mody?

Pomyślcie, po Paryżu,—Blois—antypody!

Wszystko tu stare, stęchłe, nudne, niepowabne;

(*Pokazując na wieże kościelne*).

Nawet wieże kościołów jakieś są niezgrabne!

Rochebaron.

Nie przeczę.

Brichanteau.

Lecz Saverny dostrzegł ją w tym czasie,
Skrytą tu i z kochankiem już nowym w zapasie;

Kochanek ten ocalił Savernemu życie,
Gdy go zbójcy napadli.

Gassé.

Czyż prawdę mówicie?

A to—cała historia.

Rochebaron (*do p. Brichanteau*).

Czyś pewny nowiny?

Brichanteau.

Pewny, jak sześć Bezanów w herbie méj rodziny.
Savernego jedyne jest dzisiaj marzenie,
Znaleźć człowieka, któremu winien ocalenie.

Bouchavannes.

Niech szuka u Marysi.

Brichanteau.

Napróżne staranie.

Od téj pory zmieniła imię i mieszkanie:

Ślad zupełnie stracony.

(*Marya i Didier przechodzą powoli w głębi sceny, nie spostrzeżeni przez rozmawiających i wchodzą do pobliskiego domu bocznymi drzwiami*).

Gassé.

A! to mi, jak śni się!

W Blois—tu—na parafii odszukać Marysię!

(*Wchodzą panowie de Villac i de Montpesat prowadząc główną sprzeczkę*).

Villac.

Nie,—nie,—jeszcze powtarzam!

Montpesat.

Tak i tak—sto razy!

Villac.

Korneil wart jest nie wiele.

Montpesat.

Niesłuszne wyrazy,

Traktować tak autora *Cyda i Melity*?

Villac.

Melity—tak! to utwór dosyć znakomity;
Lecz po niej ciągle Korneil utracił znaczenie:
Niestato już talentu. Robię wysilenie
I to dla ciebie tylko. Mówię o *Melicie*,
O galeryi w pałacu. Ale, na me życie,
Cyd—nędzota i mówić nawet o nim szkoda.

Gassé.

Pogodzę was panowie: za Korneilem moda!
Po Garniem przyszedł Korneil do wzięcia na świecie,
Jak pilśniowy kapelusz przyszedł po birecie.

Montpesat.

Ja trzymam się Korneila, jak i kapelusza.

Gassé.

Za daleko zachodzisz.

(*Do p. de Villac*).

Sprawiedliwość zinusza
Czcic Garniego; lecz Korneil jest nie zły czasami.

Villac.

Na to zgoda.

Rochebaron.

Zupełnie dzielę zdanie z wami:
Korneil—człowiek dowcipny, i tak uważany.

Brichanteau.

Lecz jego ród szlachecki dosyć podejrzany.

Rochebaron.

Imię cuchnie zapachem mieszczańskiej natury.

Bouchavannes.

Rodzina sądownictwa i adwokatury,
Która zebrała grosze, oskrobując złoto.
(*Wchodzi Angely i usiada w milczeniu i odosobniony przy stole*).

Villac.

Jeśli rapsodye jego czytają z ochotą,
Sztuka tragi-komedyi rozleci się w pyły
I teatr zejdzie na nic,—jak mi honor miły!
I tu Richelieu także. Nie macie pojęcia...

Gassé (*pokazując na Angel'ego*).

Albo nie mów tak głośno, lub mów Eminencya.

Brichanteau.

Do diabła, z Eminencyą! w rękę swoim trzyma
Skarb i wojsko, i wszystko i dosyć mu nie ma;
Chciałby i mowę jeszcze ująć w swe pazury.

Bouchavannes.

Niech zginie ta dłoń krwawa i szata z purpury!

Rochebaron.

Do czegoż mamy króla?

Brichanteau.

Lud w ciemności kroczy,
Na pochodnię, co świeci, obrócił swe oczy;

On—pochodnią, król tylko jak latarnia służy,
Co ochrania te światło od wiatru i burzy.

Bouchavannes.

Gdyby wielu zechciało, to łatwe zadanie!...

Brichanteau.

A tak: wspólnemi siły...

(Do p. de Bouchavannes).

Margrabio! twe zdanie?

Bouchavannes.

Moje zdanie jest waszém: znane są me chęci.

Angely *(wstaje; ponurym głosem).*

Spisek?! Śmierć Marillac'a miejcie na pamięci!

(Wszyscy wzdrgnęli się i zamilkli zmieszani, patrząc na Angelego, który usiadł w milczeniu).

Villac *(do p. de Montpesat na stronie).*

Przed chwilą o Korneilu rozmawiając ze mną

Głos twój dał mi sensacją jakąś nieprzyjemną;

Pozwolisz, że w tym względzie ja tobie przełożę

Słów parę?

Montpesat.

Szpadą?

Villac.

Dobrze.

Montpesat.

Pistolety może?

Villac.

To i to.

Montpesat *(biorąc go pod rękę).*

Miejsce znajdziem; pierwsza lepsza chwila ..

Angely *(ponuro powstawszy).*

Pojedynek? pomnijcie na śmierć Boutevill'a.

(Nowe zmieszanie się otaczających. Villac i Montpesat rozchodzą się, spoglądając na Angelego).

Rochebaron.

Kto to? dreszczem przejmuję, chociaż niepozorny.

Angely.

Jestem Angely, błazen królewski nadworny.

Brichanteau *(śmiejąc się).*

Dla tego to król smutny, jakby pod męczeństwem.

Bouchavannes *(śmiejąc się).*

Dziwny błazen, kardynał jest jego szaleństwem

Angely (*stojąc*).

Ha! ostrożnie panowie! z ministrem zła sprawa:
Jest to kosarz; a z kosy płynie struga krwawa.
Później wszystko nakrywa szkarłatną sutaną,
I cisza.

(*wszyscy milczą*)

Gassé.

Śliczny obraz!

Rochebaron.

Djable powiedziano!

Brichanteau.

A! przy tym błaznie Pluton jak śmieszek wygląda.
(*Wechodzi tłum ludu, otaczając woźnego, który siedzi na koniu, mając przy sobie czterech pacholców miejskich; jeden z nich trąbi, drugi uderza w bęben*).

Gassé.

Czegoż to cały tłum ten i ten woźny żąda?
Jakim nowym edyktem ucho nam zatruje?

Brichanteau,

(*do ulicznego skoczka, który niesie na sobie małpę*).

A który z was którego w mieście pokazuje.

Montpesat, (*do p. de Rochebaron*).

Zobaczmy czy kart naszych talije są kompletne?

(*Ukazując na pacholców miejskich*).

Ręczę, że z nich zabrano te niżniki świetne.

Woźny (*mówi przez nos*).

Mieszczanie, baczność!

Rochebaron (*do p. d. Gassé*).

Słyszysz, ta figura tłusta,

Gdy mówi, nos swój więcej zużywa niż usta.

Woźny (*czyta*).

Ludwik XIII Burbon i król z Bożej łaski...

Bouchavannes (*do p. de Brichanteau*).

Płaszcz w lilje, skrywający Riszelięgo blaski.

Angely.

Uważajcie panowie!

Woźny (*czytając*).

„Król Francyi, Nawarry”...

Brichanteau (*do p. de Bouchavannes*).

Tytułów mu nie szczędzi nasz minister stary.

Woźny (*czytając*).

„...Wszystkim którzy obecni, nasze pozdrowienie!“
(*klania się*)

„Zważywszy, że nie jedno już rozporządzenie
Karało pojedynków niešťczęšťną swawolę;
I że pomimo przodków naszych, królów wolę,
Pojedynki się mnożą; więc rozkazujemy
I głośimy publicznie, iż odtąd mieć chcemy:
Walczący w pojedynku, jawnie lub w ukryciu,
Czy z nich jeden zostanie, czy oba przy życiu,
Będą wzięci pod straż sędowniczej oko,
Sądzeni i wieszani krótko, a wysoko,
Bez względu na stan, godność. Że to ważna sprawa,
Zrzekamy się niniejszym naszej łaski prawa.
Taka jest wola nasza i rozkazy nasze“.
„Król Ludwik“.

(*oburzenie między panami*)

Brichanteau.

Mamy wisieć jako Barabasze?

Bouchavannes.

Nas wieszać? Radbym wiedzieć kto miejsce odkryje,
Gdzie się kręćą postronki na szlachecką szyję?

Woźny (*głosząc*).

„Aby wszyscy i każdy był uwiadomiony,
Edykt na miejskich placach będzie rozwieszony“.
(*Dwóch pacholców przytwardzają papier oprawiony w ramy, do ha-
ka, w pobliskim murze*).

Gassé.

Więc to edykt ma wisieć? to już rzecz nie nasza.

Bouchavannes (*z cicha*).

Po edykanie minister, co edykt ogłasza.

(*Woźny odjeżdża. Tłum się rozchodzi. Zbliża się p. de Saverny.
Dzień ma się ku wieczorowi*).

SCENA DRUGA.

Ciż sami. MARGRABIA de SAVERNY.

Brichanteau (*do p. de Saverny*).

Cóż kuzynku? znalazłeś gołąbków ukrycie
I człowieka, co tobie uratował życie?

Saverny.

Nie. Próżno szukam w mieście, ogłaszam przygodę,
Złodzieje, człek, Marysia wpadli jakby w wodę;
I wszystko jak sen znikło.

Brichanteau.

Żleś sobie poradził:
Było mu się przypatrzyć, kiedy cię prowadził,
Jak chrześcijańskiego jeńca z niewoli Turczyna.

Saverny.

Ba, naprzód światło zgasił.

Brichanteau (*śmiejąc się*).

A to rzecz jedyna!

Ale poznasz go przecie, gdy spotkać się zdarzy?

Saverny.

Bynajmniej, nie dojrzałem nawet jego twarzy.

Brichanteau.

Imię?

Saverny.

Didier.

Brichanteau.

Czyż człowiek zwie się tak na świecie?
Chyba mieszczanin jaki?

Saverny.

On tak zwie się przecie.

Ba! wysoko zrodzeni możni patrycyusze,
Mają większe imiona, lecz nie większą duszę.
Byłem ze złodziejami, on z Marysią boską.
I porzucił ją dla mnie! ten dług moją troską;
Zapłacę mu krwią wszystką, za takie przysługi.
To mało.

Villac.

Więc margrabia już płacisz swe długi?

Saverny (*z dumą*).

Długów, co krwią się płacą nigdy nie odkładam;
Bo każdej chwili krew mą w gotówce posiadam.

(*Noc zupełna. Okna przyległych domów zaczynają się oświecać.
Wchodzi zapalacz lamp, który latarnię nad edyktem zawieszoną za-
pala. Poboczne drzwi w które Maryja i Didier weszli otwierają się:
wychodzi przez nie Didier, wolnym krokiem, zamysłony z rękami
skrzyżowanymi pod płaszczem.*)

SCENA TRZECIA.

*Ciż sami i DIDIER.**Didier (zbliża się niepostrzeżony).*

Margrabia de Saverny!... Dałbym za to wiele,
By go spotkać. Jak w oczy zaglądał jój śmieje?
Czuję wzrok ten!

*Bouchavannes,**(do p. de Saverny, który rozmawia z p. de Brichanteau).**Saverny!**Didier (na stronie).*

Aha! to on właśnie.

*(Zbliża się wolnym krokiem z ulkwionemi oczyma na panów dworu
i siada u stołu, stojącego przy latarni, na której zawieszony jest edykt,
blisko przy Angelim, który siedzi milczący i nieruchomy).*

Bouchavannes (do p. de Saverny).

Znasz edykt?

Saverny.

Jaki?

Bouchavannes.

Który wyraźnie i jaśnie

Wzbrania nam pojedynków.

Saverny.

Ma poparcie we mnie.

Brichanteau.

Ale pod karą stryczka.

Saverny.

Szydzisz sobie ze mnie.

Niech wieszają pospólstwo; o tém się nie gada....

Brichanteau (pokazując edykt).

Czytaj sam: on nad tobą.

Saverny (spostrzegając Didiego).

Ta figura błąda

Przeczytać mi go może.

(Do Didiego podnosząc głos).

He! człowieku suchy!

Przyjacielu! kochanku!

(Do p. de Brichanteau).

Brichanteau, on głuchy!
*(Didier, który nie spuszczał z oka p. de Saverny, podnosi
 powoli głowę).*

Czy to do mnie pan mówisz?

Saverny *(do towarzyszy)*.

Mily, daję słowo!

(Do Didiego).

Zapłacę ci; przeczytaj, co tam masz nad głową.

Didier.

Ja?

Saverny.

Ty. Cóż? nie znasz nawet i elementarza?

Didier *(powstając)*.

Ten edykt zawadyakom stryczkami zagraża.
 Panom, równie jak biednym.

Saverny.

Głowa twa nie tęga,
 Wysoko urodzonych stryczek nie dosięga;
 I na całym tym świecie, w którym my panami,
 Pospółstwa tylko szyja zna się ze stryczkami.

(Do towarzyszy).

Lud coraz jest zuchwalszy!

(Do Didiego szydęczo).

Źle czytasz, nieboże!

Może cię oczy bolą? wzrok krótki masz może?
 Zdejm kapelusz, spójrz lepiej; zdejm go: mówię tobie!

(Didier, wywracając stół przed sobą).

Strzeż się pan! ja ubliżać nie pozwolę sobie!

Czytałem ci; masz płacić! to była umowa:

No, margrabio, zapłatą — krew twoja, twa głowa!

Saverny *(uśmiechając się)*.

Naszych pochodzeń cechy jasne, jak się zdaje:

Ja w nim motłoch, on we mnie margrabię poznaje.

Didier.

Margrabia często duszą jest niżej motłochu;

A gdybyśmy krew naszą zmieszali potrochu?

Saverny *(seryo)*.

Dobrze, panie, lecz bądźmy i tradycjom wierni:

Ja się nazywam Gaspar margrabia Saverny.

Didier.

Mniejsza o to.

Saverny *(zimno)*.

A teraz. To moi świadkowie:

Hrabia Gassé, o którym każdy chlubnie powie;

Drugim, kawaler Villac z La Feuilla'dów domu.
Gotowem służyć, tylko pragnę wiedzieć komu?
Czy pan jesteś szlachcicem?

Didier.

Cóż cię to obchodzi?
Nie! ja jestem podrzutek; nie wiem kto mnie rodzi:
Nie mam wcale nazwiska; ale chętnie za to
Krew przeleję, gdy twoja będzie jęj zapłatą.

Saverny.

To nie wystarcza, panie, w żadnym świata kraju.
Lecz podrzutek szlachcicem w naszym obyczaju,
Ponieważ nim być może; a więcej godności
Uszlachcić choćby chłopą, niż z nieświadomości
Odjąć komu szlachectwo. A więc niech się stanie;
I kiedy pan zażadasz.

Didier.

W téj chwili, mój panie!

Saverny.

Dobrze pan utrzymujesz ród swój domniemany,
Więc broń teraz wybierzmy, gdy już czas obrony.

Didier.

Szpady!

Saverny.

Pan nie masz szpady? a to niesłychana!
Za Bóg wie kogo ludzie gotowi wziąć pana.
(*Oddając Didiemu swoją szpadę*).
Przyjm moją; wierna, ostra i nie dla parady.
(*Angely, wstaje dobywa swą szpadę i daje ją Didiemu*).

Angely.

Jeśli masz głupstwo czynić, użyj błazna szpady.
Jesteś męzny, więc dla niej cześć będzie nie lada.

(*szyderczo*)

A za to mi na szczęście, jak ktoś tam powiada,
Pozwolisz dotknąć stryczka, co posłuży tobie.

Didier (*biorąc szpadę, gorzko*).

Zgoda.

(*Do p. de Saverny*).

Bóg będzie wsparciem dobremu w téj dobie.

Brichanteau (*z radością*).

Pojedynek! to radość!

Saverny (*do Didiiego*).

Miejsce, gdzie w oddali...

Didier.

Nie, pod latarnią: tutaj.

Gassé.

Czyście zwaryowali?
Oczy powykalacie: ciemno, światła gasną.

Didier.

Aby trafić do śmierci, zawsze dosyć jasno.

Saverny.

Brawo!

Villac.

Tu nic nie widać.

Didier.

Jasność będzie w oku,
A szpada błyskawicą stanie się wśród zmroku;
No, margrabio
(Oba rzucają płaszcze, zdejmują kapelusze, któremi uklon sobie
czynią a później ciskają je po za siebie i dobywają szpad).

Saverny.

Jam gotów.

Didier.

A więc w dobrą porę!
(Skrzyżowali szpady i walczą w milczeniu, ale zacięcie. Nagle
boczne drzwi przyległego domu otwierają się i pokazuje się Marya
w bieli).

SCENA CZWARTA.

Ciż sami i MARYA.

Marya.

Szczęk bronii.

(spozstrzega Didiego)

Didier! Boże!

(do walczących).

Stójcie!

(walczący nie przestają).

Marya (biegnąc krzyczy).

Gwałtu! gore!

Saverny.

Kto ta pani?

Didier (glądając się).

Ach! ona!..

Bouchavannes (*nadbiegając do p. de Saverny*).

Wszystko jest stracone!

Ta kobieta krzyczała; strażę przebudzone;
Już pachołkowie miejscy suną tu jak cienie.

(*Wchodzi straż miejska*).

Brichanteau (*do p. de Saverny*).

Udaj trup; bo nim będziesz.

Saverny (*padając*).

A!...

(*Z cicha do p. Brichanteau który się pochyla nad nim*).

Twarde kamienie!

(*Didier, któremu się zdaje że zabił pana de Saverny, zatrzymuje się*).

Kapitan straży.

W imie króla!

Brichanteau (*do panów dworu, pokazując na pana de Saverny*).

Trzeba skryć go. Bo utłaskawienia

Nie będzie, gdy go wezmą.

(*Panowie dworu otaczają pana de Saverny*).

Kapitan straży.

Nie do uwierzenia!

Biją się pod latarnią, gdzie edykt nad niemi?

(*Do Didiego*).

Poddaj się pan!

(*Straż chwytą i rozbraja Didiego, który sam pozostał*).

Kapitan straży (*pokazując na p. de Saverny*).

A drugi, co leży na ziemi,

Kto jest?

Brichanteau.

Gaspar Saverny, w piersi ugodzony;

Już skonał.

Kapitan straży.

Trup? więc proces szczęśliwie skończony;

Lepiej tak, niżli żałować stryczkowej słodczy.

Marya (*przestraszona*).

Co on mówi?

Kapitan straży (*do Didiego*).

Ta sprawa dziś pana się tyczy.

No, chodźmy!

(*Straż uprowadza Didiego w jedną stronę, gdy panowie dworu unoszą pana de Saverny drugą stroną*).

Didier (*do Maryi nieruchomej z trzogi*).

Maryo luba! zapomnij! bądź zdrowa!

(*wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

MARYA i ANGELY.

Marya (*biegąc, aby go zatrzymać*).

Didier! To pożegnanie? te okropne słowa?

Zapomnieć?!

(*Żołnierze ją odtrącają; ona wraca z rozpaczą ku Angelemu*).

Ach! wytłumacz! ach! powiedz mi panie!

Co to jest? co on zrobił? ach! co z nim się stanie?

Angely(*Bierze ją za rękę i prowadzi pod latarnię, pokazując na edykt*).

Przeczytaj!

Marya (*czyta i odsuwa się z przerażeniem*).

Śmierć! o Boże! Boże! gdzie Twa siła?

Ocal go! jam go własnym mym krzykiem zgubiła!

Ach! wołałam pomocy, a na me wołanie

Śmierć przyszła, skryta w cieniu, straszna, niespodzianie!

Nie! to niepodobieństwo! Pojedynek? Dziwnie

Zać karać! On nie będzie stracony?..

Angely.

Przeciwnie.

Marya.

Ale on uciec może?

Angely.

To trudno—z więzienia.

Marya.

Gdy on—zbrodniarz, to pewno przez me przewinienia!

Za mnie Bóg go uderza! moj Didier!

(*Do Angelego*).

Czy wiecie:

Że dla niego bym wszystko zrobiła na świecie?

Więzienie! śmierć! okropność! i tortura może?...

Angely.

Zapewne, jeśli zechcą.

Marya.

Lecz król? król! mój Boże!

I królewskie w nim serce, przebacza wspaniale...

Angely.

W królu litość być może, lecz nie w kardynale.

Marya (*zrozpaczona*).

Radź mi! Cobyś pan zrobił?

Angely.

Bardzo trudna rada:
Kto jest na spadzistości, ten w przepaść upada.

Marya.

Ach! okropnie! pan w ranie obracasz mi noże!
O! kto jesteś, straszliwy?

Angely.

Ja? błazen przy dworze.

Marya.

Mój Didier! jam niegodna, jam grzeszna, splamiona;
Ale co Bóg rękami niewiasty dokona
Zobaczysz!... Idę, ale...
(*Odechodzi w stronę, w którą uprowadzony został Didier.*)

Angely (*smutnie za nią patrząc*).

Biedna!

(*Podjeżdża swoją szpadę zostawioną na ziemi przez Didiego.*)

Kto rzec może,
Widząc to: że ja błaznem pośród nich, mój Boże?!
(*Wychodzi.*)

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

